

PROLOG

Wśród 8 lutego 1587 r., około godziny 8 rano, gdy zrobiło się na tyle jasno, aby można było obyć się bez świec, sir Thomas Andrews, szeryf hrabstwa Northamptonshire, zastukał do drzwi jednego z pomieszczeń zamku Fotheringhay, położonego mniej więcej 120 km od Londynu. Dziś miejsce to pokrywa warstwa chwastów, a po całej budowli pozostał jedynie ziemny wał, niegdyś wznoszący się wokół wewnętrznego dziedzińca, a także niższy niż w tamtych czasach pagórek (*motte*), na którym stał donżon. Najbliższa wioska znajduje się kilkaset metrów dalej, a niedaleko płynie rzeka Nene o leniwym nurcie. Jednak w XVI w. Fotheringhay tętniło życiem, było bowiem królewską posiadłością. W tamtejszym zamku w 1452 r. przyszedł na świat Ryszard III. Z kolei Henryk VII, pierwszy król z dynastii Tudorów, ten sam, który pobił Ryszarda w bitwie pod Bosworth, przekazał majątek Fotheringhay jako wiano swojej żonie, Elżbiecie York. Później Henryk VIII nadał go pierwszej małżonce, Katarzynie Aragońskiej, która dokonała dzieła obszernej modernizacji zamku. W 1558 r. Elżbieta I odziedziczyła tę posiadłość, gdy wstąpiła na tron po śmierci starszej siostry Marii Tudor.

Jednak żadne z dotychczasowych wydarzeń związanych z różnymi królami i królowymi nie przygotowały ani Fotheringhay, ani w ogóle całych Wysp Brytyjskich, do tego, co miało zajść w rezydencji w opisywanym tu dniu. Wspomniany wyżej Andrews usługiwał w tym czasie dwóm spośród najważniejszych szlachciców Anglii: George'owi Talbotowi, hrabiemu Shrewsbury, i Henry'emu Greyowi, hrabiemu Kent. Zaś drzwi, do których właśnie stukał, prowadziły do prywatnych komnat Marii, królowej Szkotów – królowej wdowy po władcy Francji, a jednocześnie kobiety, która od prawie 19 lat była więziona przez Elżbietę I na terytorium Anglii.

Kiedy te drzwi się otworzyły, ukazała się za nimi Maria, która modliła się na kłęczkach wraz ze swoimi pokojowymi. Andrews powiadomił ją, że czas się już zbliża, na co ona podniosła na niego wzrok i oznajmiła, że jest gotowa. Potem wstała, a jej towarzyszki odsunęły się na bok.

Maria miała dopiero 44 lata. Jako kobieta, która urodziła się przeznaczona na królową i została odpowiednio do tego wychowana, śmiało przeszła przez próg,

jak gdyby raz jeszcze udawała się na dworską uroczystość. Trzeba dodać, że mierzyła prawie 180 cm, a więc zawsze wyglądała stosownie do roli monarchini. Już od dzieciństwa, które spędziła we Francji, składano hołdy jej urodzie i wdzięku. *Charmante* i *la plus parfaite* – oto przymiotniki, którymi najczęściej opisywano ową wyjątkową kombinację cech czyniących z niej gwiazdę. Maria nie tylko budziła czysto fizyczne zauroczenie dzięki swojej twarzy, szyi, ramionom i talii, które posiadały właściwe proporcje, ale także miała niezwykle serdeczną naturę i zdolność do nawiązywania natychmiastowej więzi z innymi ludźmi. Zawsze była pełna werwy i życia, potrafiła też okazywać bezgraniczną wielkoduszność i życzliwość. Poza tym miała dowcip ostry jak brzytwa i była z natury biegła w sztuce konwersacji. Towarzyska i zarazem olśniewająca, potrafiła być tak przyjazna, że wręcz porzucała formalne maniere – wszystko to jednak pod warunkiem, że respektowano jej „godność”. Wielu współczesnych jej ludzi wspominało, że królowa miała niemal magiczną zdolność stwarzania wrażenia, że jej aktualny rozmówca jest jedyną osobą, której opinia ma dla niej znaczenie.

Ponieważ jednak Maria postarzała się przedwcześnie (wskutek bezczynności i braku ruchu, na co gorzko się skarżyła podczas długiej niewoli), jej uroda stopniowo przygasała. Rysy twarzy straciły subtelność, a plecy wygięły się w łuk i królowa zaczęła się odrobinę garbić. Twarz, której miętka biała skóra i nieskazitelna „marmurowa” cera niegdyś były wręcz legendarne, zaokrągliła się i zyskała drugi podbródek. Jednak pobyt w więzieniu nie zmienił całej powierzchowności Marii. Jej małe, głęboko osadzone oczy wciąż spoglądały równie żywo jak dawniej, a wijące się pukle kasztanowych włosów ponoć nie straciły swego połysku.

Przez większą część poprzedniej nocy królowa nie spała, ponieważ starannie szykowała się na to, co miało nadejść. Miała to być jej najefektowniejsza rola i największy triumf, więc rozważała zawczasu każdy szczegół spektaklu.

Nastrój tego widowiska dyktował już sam jej strój. Ubrała się mianowicie od stóp do głów w czerń, a wyjątek stanowił płócienny welon, który był biały. Obrzeżony koronką i delikatny jak gaza, okrywał włosy oraz plecy królowej i opadał aż do stóp, na francuską modłę. Był przymocowany do małego czepka z białego batystu, który spoczywał na głowie Marii, umieszczony tuż nad jej czołem. Ów czepok także był obrzeżony koronką, a loki królowej swobodnie spływały spod niego po obu stronach jej twarzy. Z kolei suknia była z grubej czarnej satyny i niemal sięgała do ziemi w tym miejscu, gdzie był do niej przymocowany tren. Wykończono ją złotym haftem i oblamowano sobolim futrem, a do tego przyszyto do niej guziki w kształcie żółędzi, z gagatów przystrojonych masą perłową.

Przyglądając się dokładniej, można było dostrzec zewnętrzny gorset w kolorze karmazynowym oraz spódnicę z haftowanej czarnej satyny. Obydwa te elementy stroju były widoczne przez rozcięcia sukni, zgodne z ówczesną modą. Dodatkową ozdobę stanowiły długie, bogato haftowane rękawy w stylu włoskim, również z rozcięciami, a pod nimi było widać kolejną, spodnią parę rękawów, uszytych z fioletowego aksamitu. Buty Marii były wykonane z najświetniejszego hiszpańskiego zamszu. Później można było się przekonać, że miała jeszcze pończochy barwy nieba, haftowane srebrną nicią i podtrzymywane przez zielone jedwabne podwiązki, a pod nimi kolejne, białe i z miękkiego materiału. Te ostatnie nosiła, żeby chronić skórę przed otarciem.

W jednej ręce królowa trzymała krucyfiks z kości słoniowej, a w drugiej katolicki modlitewnik. Z pasa wokół talii zwisał różaniec ze złotym krzyżem, a z szyi srebrny lub złoty łańcuch, na którym znajdował się wisiorek, medalion z wizerunkiem Chrystusa przedstawionego jako „Baranek Boży”.

Prowadzona przez Andrewsa, a z tyłu mając obu wspomnianych wyżej hrabiów, Maria przeszła korytarzem i wkroczyła do większej komnaty. Tam czekała cała jej służba, żeby ją przywitać, a zarazem wymienić z nią słowa pożegnania. Pewien naoczny świadek wydarzenia (być może sam hrabia Kent) napisał, że królowa napomniała swoich ludzi, aby żyli bogobojnie i w posłuszeństwie. Potem ucałowała kobiety, a mężczyznom podała rękę, aby mogli złożyć na niej pocałunek. Poprosiła też obecnych, żeby jej nie oplakiwali, lecz *radowali się i modlili za nią*. Jeden z nich później przekazał, że nie okazywała ani odrobiny lęku, a wręcz się uśmiechała.

Następnie Maria zeszła po schodach, kierując się do wielkiej sali na parterze zamku. Ze względu na olbrzymią opuchliznę i stan zapalny nóg, które były skutkiem dręczącego ją reumatyzmu, musiała wesprzeć się przy tym na ramionach dwóch żołnierzy. Kiedy cały pochód dotarł do przedpokoju, który wiódł do wielkiej sali, nastąpiło spotkanie z Andrew Melville’em, majordomusem Marii. Ten ukląkł i z trudem powstrzymując łzy, wykrzyknął: *Madam, kiedy doniosę, że moja Królowa i droga pani nie żyje, będzie to najboleśniejша wiadomość, jaką kiedykolwiek przyszło mi zanieść*.

Skazana odpowiedziała, również przez łzy: *Powinieneś raczej się radować niż szlochać, gdyż dziś nadchodzi koniec kłopotów Marii Stuart*. Następnie oznajmiła: *Zanieś tę wieść i powiedz moim przyjacielom, że umarłam jako kobieta wierna mojej religii, prawdziwa Szkotka i prawdziwa Francuzka*.

Zaraz jednak opanowała się, a jej nastrój uległ raptownej zmianie. Obejrzała się na schody, z których właśnie zeszła, krzyknęła, że *towarzyszy jej nieodpowiedni orszak*, po czym zaczęła się domagać, aby przez *wzgląd na to, iż jest kobie-*

ta, mogły ją eskortować własne sługi. Kiedy tak ciskała gromy na dwóch towarzyszących jej hrabiów, ci przelękli się, że więźniarka zrobi jeszcze gorszą scenę i że trzeba ją będzie siłą ciągnąć za próg wielkiej sali. Shrewsbury wprawdzie słabo zaoponował, że on i Kent jedynie wykonują otrzymane rozkazy, lecz Maria zachnęła się na te słowa: *Osobom dużo podlejszego stanu niż ja nie odmówiono tak drobnej przysługi*. Kent odrzekł: *Madam, tobie jednak nie można jej przyznać, gdyż istnieją obawy, że niektórzy z nich [służących] swoimi przemowami zatroskają i zmartwią waszą łaskawość oraz zakłócać spokój tego towarzystwa [...] bądź będą próbowali zamoczyć chustki w twojej krwi, co nie jest stosowne*. Jednak Maria oznajmiła: *Mój panie, dam słowo i przyrzeknę za nich, że niczego podobnego nie uczynią*. Następnie nie mogła się powstrzymać od uwagi: *Wiesz, że jestem krewną waszej królowej i wywodzę się od Henryka VII, a jestem z męża królową Francji oraz namaszczonej królową Szkocji*.

Hrabiowie zbili się w grupkę, wymieniając ledwo słyszalne szepty, a potem ustąpili przed Marią, która była przyzwyczajona do osiągnięcia tego, czego sobie zażyczyła. Pozwolono więc, żeby do pochodu dołączyły jej dwie ulubione służące, Jane Kennedy i Elizabeth Curle, a także czterech mężczyzn, w tym Melville. *Allons donc (A teraz chodźmy)*, rzekła władczyni, znowu się uśmiechając. Mówiła oczywiście po francusku, bowiem to ten język, tak samo jak odmiana szkockiego używana w Lowlands, był jej ojczystą mową. Angielskiego nauczyła się dopiero, i to z trudem, w niewoli.

Teraz, skoro orszak był gotowy, wkroczyła z determinacją do wielkiej sali, a za nią postępował Melville, trzymając tren jej sukni. Było to z góry zaplanowane królewskie wejście; Maria przedefilowała przed mniej więcej setką widzów prosto ku miejscu, na które skierowane były oczy wszystkich. Drewniane podium, pospiesznie zbudowane w ciągu dwóch poprzednich dni, stało przed paleniskiem, na którym płonęła wielka sarta bierwion. Królowa weszła po dwóch stopniach na podwyższenie, po czym zasiadła na niskim stołku. Wtedy hrabiowie także zajęli swoje miejsca po jej prawej stronie, a szeryf stanął po lewej.

Rzecz jasna, nie stał tam tron, gdyż owo podium było szafotem. Miał on wysokość około 60 cm, a boki o szerokości około 360 cm i spowijały go płachty czarnej bawełnianej materii, które opadały nisko, aby zamaskować nieoszlifowane drewniane elementy konstrukcji. Wokół szafotu z trzech stron, na wysokości około 45 cm, biegła poręcz, natomiast czwarta strona była nieogrodzona, aby zgromadzeni w przeciwległym krańcu sali mogli mieć pełny widok na tę scenę. Poduszka, na której Maria miała potem uklęknąć, leżała obok pieńka katowskiego, który także był spowity czarną tkaniną.

Na rusztowaniu stali w gotowości dwaj zamaskowani mężczyźni: „Bull”, czyli kat z londyńskiej Tower, oraz jego pomocnik. Byli ubrani w długie czarne szaty, na których nosili białe fartuchy. Topór był swobodnie oparty o poręcz. Na drugim krańcu sali zasiadali, otoczeni z obu stron przez oddział żołnierzy, rycerze oraz szlachta z Northamptonshire i sąsiednich hrabstw. Spoglądali ku podium, na które mieli pełny widok, gdyż podwyższenie wzniesiono na odpowiednią wysokość. Z kolei na zewnątrz sali, to znaczy przy głównym wejściu do niej, na dziedzińcu, zebrał się tłum około tysiąca ludzi, który czekał na wieści.

Szeryf poprosił o ciszę, po czym Robert Beale, urzędnik Tajnej Rady (*Privy Council*) Elżbiety I, a jednocześnie człowiek odpowiedzialny za dostarczenie nakazu egzekucji do Fotheringhay, odczytał przywieziony dokument. Zajęło to zapewne około 10 minut, a przez cały ten czas Maria siedziała w całkowitym milczeniu. Słuchała, nie okazując żadnych emocji – jak doniósł Robert Wingfield z Upton w Northamptonshire, który zajmował miejsce w odległości niespełna 10 m od niej – *z tak niewielką uwagą, jak gdyby nie dotyczyło jej to wcale, i z tak radosnym obliczem, jak gdyby był to akt ułaskawienia*. Jej zimna krew miała jednak zostać wystawiona na kolejną próbę, ponieważ kiedy odczytano nakaz, na znak hrabiego Shrewsbury naprzód wystąpił doktor Richard Fletcher, dziekan Peterborough, a na tym etapie kariery jeden z ulubionych kaznodziei królowej Elżbiety.

Duchowny był ojcem dramatopisarza Johna Fletchera, który współpracował z Szekspirem podczas pisania *Henryka VIII*. Jego udział w wydarzeniu w Fotheringhay polegał na tym, że miał wygłosić konwencjonalne „napomnienie”, ostro krytykujące zdradziecką przynależność Marii do Kościoła katolickiego, a potem odmówić modlitwę z zebranymi w sali. Fletcher był jednym ze stałych kapelanów Elżbiety, słynął z *nadobnej postaci* oraz *dwornej mowy*, lecz jego „napomnienie” okazało się wielkim niewypałem. Kazanie, które usiłował wygłosić – gdyż dokładnie takiego określenia trzeba tu użyć – było największym *faux pas* w jego karierze, kiedy bowiem nadszedł czas na przemowę, Fletcher zaczął się nerwowo jąkać. *Madam, rozpoczął, Jej Wysokość Królowa... Jej Wysokość Królowa... Zająknął się trzykrotnie, a gdy podjął czwartą próbę, Maria gwałtownie mu przerwała, oznajmiając jasnym i niewzruszonym głosem: Panie dziekanie, nie będę cię słuchała. Nie masz nic wspólnego ze mną, ani ja z tobą.* Fletcher, nieco speszony, odparł: *Nie mówię niczego, czego nie mógłbym obronić przed majestatem wszechmocnego Boga.* Z początku nie był skłonny ustąpić skazanej, bo, jak oświadczył, wierzył, że Bóg nigdy nie opuściłby sprawiedliwego, lecz zatroszczyłby się o niego za pośrednictwem swoich aniołów. Skoro zatem Maria została skazana na śmierć, było to dzieło boże, a kaznodzieja odpowiadał

za swoje kazanie wyłącznie przed Bogiem. Usłyszawszy to, królowa Szkocji poczuła się jak ryba w wodzie – jak zawsze, gdy przychodziło jej wziąć udział w dyskusji: *Trwam w starożytnej religii rzymskokatolickiej i zamierzam przelać krew w jej obronie.*

Fletcher z kolei odrzekł na to nierozsądnie: *Madam, zmień zdanie i pożałuj wcześniejszego życia w grzechu, a wiarę pokładaj jedynie w Jezusie Chrystusie, przez którego zostaniesz wybawiona.* Nie był to właściwy sposób przemawiania do królowej i Maria, wyraźnie czerwieniejąc na twarzy, nakazała kaznodziei zamilknąć. Nastąpiła niezręczna chwila ciszy, po czym hrabiowie ustąpili i nakazali Fletcherowi pominąć kazanie. Później w przypiływie irytacji domagał się on, żeby skopiować je z jego notatek i włączyć do protokołu z wydarzeń tego dnia.

Potem nastąpiła osobliwa, a wręcz groteskowa scena. Hrabia Kent ponaglił Fletchera, aby przystąpił do modlitwy, gdy zaś dziekan ponownie zaczął mówić, Maria też zaczęła modlić się głośno, tyle że po łacinie, a jednocześnie trzymała krucyfiks na wysokości oczu. Rozegrała się prawdziwa „bitwa woli”: rycerze i szlachta zebrani w sali razem z Fletcherem uczestniczyli w wypowiedaniu wersykułów i responsoriów, a Maria i jej sześcioro sług wykrzykiwali swoje formuły coraz głośniej i głośniej. W końcu królowa zalała się łzami i zsunęła ze stołka, na którym siedziała, ale szybko uklękła i podjęła modlitwę, nie przerywając, nawet gdy Fletcher już zamilkł. W dodatku odmawiała ją teraz po angielsku, żeby przysporzyć zebrany jak największego zakłopotania. Pomodliła się za Kościół – aby nadszedł kres rozłamu religijnego; za swego syna, 20-letniego Jakuba VI, króla Szkocji, którego jej wrogowie wychowali w wierze protestanckiej – aby został nawrócony na prawdziwą wiarę katolicką; za pomyślność Elżbiety i o to, aby panowała długo, służąc Bogu jak należy. Wyznała, że ma nadzieję zostać zbawiona *poprzez krew i we krwi Chrystusa, pod którego krzyżem chętnie przeleje własną krew.* W końcu zaś zaczęła prosić świętych o modlitwę za swoją duszę i o to, żeby Bóg w swym wielkim miłosierdziu i dobroci oddalił swe plagi od tej wyspy *głupców.*

Dla hrabiego Kent, który sam był zagorzałym protestantem, takie słowa były niezwykle obraźliwe. *Madam, oznajmił, pozwól Jezusowi Chrystusowi wejść do swego serca i porzuć te kłamstwa,* ale skazana go zignorowała, a kiedy wreszcie skończyła, ucałowała krucyfiks i zrobiła znak krzyża, jak czynią to katolicy.

Jej gesty i słowa były jednak w sporej części sztuczne. Maria nigdy nie była osobą tak oddaną ideologii katolicyzmu, jaką teraz pragnęła pokazać się światu. Za dużo było w niej polityka. Jako władczyni Szkocji rozsądnie zaakceptowała kompromis oparty na religijnym *status quo* oraz swoiste akty inwazji na ten kraj ze strony oficjalnego nurtu reformacji. Dopiero gdy znalazła się w wię-

zieniu w Anglii, wymyśliła sobie nowy image: nieszczęsnej katoliczki przesładowanej wyłącznie za wyznawaną wiarę. Demonstracja w wielkiej sali zamku Fotheringhay była więc przedstawieniem, i to skutecznym. Upokarzając Fletchera, Maria odniosła zwycięstwo propagandowe, które wywołało szeroki odzew w całej katolickiej części Europy.

W końcu usatysfakcjonowana królowa spokojnie zwróciła się do Bulla, który potulnie ukląkł i poprosił ją o przebaczenie. Odpowiedziała mu: *Wybaczam ci z całego serca, ponieważ teraz, mam nadzieję, położysz kres wszystkim moim kłopotom.*

Kaci pomogli służącym Marii zdjąć część jej odzieży, tak aby została w spodniej sukni. Kiedy rozpinali jej guziki, uśmiechnęła się szeroko i zażartowała, że *niegdy przedtem nie miała takich sług, którzy zdejmowałiby jej strój, ani też nigdy nie rozbierała się przed takim towarzystwem.*

Swój krucyfiks i modlitewnik położyła na stołku. Jeden z katów zdjął medalion z jej szyi, bo zwyczaj pozwalał im zabierać takie osobiste przedmioty jako „napiwek”, ale wtedy królowa oznajmiła, że tego rodzaju rzeczy pragnie oddać swojej służbie, a kaci zamiast nich otrzymają pieniądze.

Kiedy zdjęto jej welon i czarną wierzchnią odzież, po całej sali zaczęły rozbrzmiewać stłumione okrzyki szoku i zdumienia. Królowa miała bowiem na sobie spodnią suknię z rdzawego aksamitu, a wewnętrzny stanik z satyny w takim samym kolorze. Jedna ze służących wręczyła jej też parę rękawów identycznej barwy, którymi Maria natychmiast okryła ramiona. W ten sposób dokonała się metamorfoza.

Przez kilka minut skazana stała w całkowitym bezruchu, przyodziana w strój koloru zaschniętej krwi, czyli barwę liturgiczną męczenników w Kościele rzymskokatolickim. Ten widok był tak melodramatyczny i zarazem na tyle odrażający dla hrabiów, że pominęli wszelkie wzmianki na ten temat w oficjalnym raporcie dla Tajnej Rady. Cały incydent znany wyłącznie z ówczesnej relacji w języku francuskim, opartej na doniesieniach sług Marii. Można dodać, że potwierdzają ją dwa opisy sporządzone przez Anglików, w tym służącego Shrewsbury’ego, który napisał o tej sprawie do przyjaciela, a więc nie miał powodu kłamać.

Następnie skazana ucałowała swoje towarzyszki, które ogarnął atak niepohamowanego szloch. *Ne criez vous, rzekła do nich, j'ai promis pour vous – albo też, jak przekazuje w swojej relacji jeden z Anglików, naocznych świadków całego zajścia: Spokojnie, spokojnie, nie płaczcie, przyrzekłam, że tego nie uczynicie. Nie płaczcie za mną, lecz się radujcie.* Królowa podniosła ręce i pobłogosławiła kobiety, a potem zwróciła się do innych sług, w szczególności Melville’a, którzy głośno szlochali i wciąż robili znak krzyża. Zmówiła modlitwę po łacinie, pobłogosławiła ich, a w końcu pożegnała się i poprosiła, żeby pamiętali o niej w swoich modłach.

Potem uklękała, z wielkim zdecydowaniem, na poduszce, zaś Jane Kennedy zasłoniła jej oczy białym welum haftowanym złotą nicią, które Maria wybrała poprzedniej nocy. Ucałowawszy tę chustę, Jane złożyła ją w trójkąt i zawiązała wokół twarzy swojej pani, po czym przypięła materiał do czepek, żeby trzymał się mocno. Dopiero wtedy obie służące zeszyły z podwyższenia.

Już klęcząc, Maria wyrecytowała po łacinie psalm *In te Domino confido* (*W Panu ja ufam*). Wyciągnęła ręce, aby dosięgnąć pieńka, i położyła na nim głowę, układając ją tak, żeby podbródek też się na nim opierał. Pomagała sobie przy tym rękami i potem ich nie cofnęła, więc gdyby kat ich nie przesunął, one również zostałyby odcięte. W końcu rozłożyła ramiona, wyprostowała nogi i zawołała: *In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum* (*W Twe ręce, Panie, oddaję mą duszę*). Powtórzyła tę frazę trzy lub cztery razy, zanim przytrzymywana przez jednego z mężczyzn nie została pozbawiona głowy przez jego towarzysza.

Tyle że teraz przyszła kolej na kata popełnić błąd. Powinien był ściąć skazanej głowę za jednym zamachem, ale napięcie było zbyt wielkie nawet dla najbardziej doświadczonego specjalisty w Anglii, a w efekcie za pierwszym razem źle wymierzył. Trafił w to miejsce, gdzie znajdował się węzeł przepaski na oczy, a więc ostrze topora zamiast w szyję wbiło się w tył głowy. Według jednego opisu Maria zrobiła *bardzo niewiele hałasu*, ale zgodnie z kolejnym krzyknęła w bólu: *Panie Jezu, przyjmij moją duszę!* Drugi cios przeciął jej szyję, ale nie w całości, i kat musiał rozrąbywać resztę ścięgien, używając topora jak tasaka. W końcu jednak podniósł głowę zabitej i zawołał: *Boże, chroń królową!* Wtedy tłum zebrany w sali wydał z siebie głośne westchnienie – usta Marii wciąż się bowiem poruszały, jakby się modliła, w dodatku znieruchomiały dopiero po kwadransie.

Potem zaś nastąpił ostatni moment zwrotny: gdy kat trzymał odciętą głowę, kasztanowe loki i biały czepek nagle od niej odpadły. Iluzja monarszego autorytetu całkowicie się rozwiązała. Mężczyzna zorientował się, że trzyma tylko garść włosów, a sama głowa spadła na podłogę i potoczyła się niczym niekształtna piłka w kierunku widzów, którzy dostrzegli, że jest *bardzo siwa i niemal łysa*.

Nagle wszystko stało się jasne: królowa Szkotów nosiła perukę. Zgromadzenie oniemiało, aż w końcu hrabiemu Shrewsbury puściły nerwy i rozpląkał się.

Kiedy kat z powrotem pochwycił głowę, doktor Fletcher odzyskał przytomność umysłu i zagrział: *Tak zginą wszyscy wrogowie królowej!* Hrabia Kent, który stał nad ciałem, powtórzył za nim: *Taki będzie koniec wszystkich wrogów królowej i Ewangeli!* Finał widowiska był jednak zbyt makabryczny, a *katharsis* przygnębiające. Nawet w teatrach londyńskich, gdzie właśnie zapanowała moda na „tragedie zemsty” (*revenge plays*), nigdy nie widziano niczego podobnego.

Wzburzonych służących Marii odprowadzono z miejsca egzekucji i zamknięto w ich pokojach. Potem, kiedy kaci rozbierali ciało, jeden z nich zauważył, że ulubiony piesek królowej rasy skye terrier przedostał się na podium, ukryty w fałdach jej halki. Kiedy go wypatrzono, zaczął biegać wokół i wyczał, a w końcu ułożył się w rosnącej kałuży krwi, która uformowała się pomiędzy odciętą głową a korpusem jego pani. Ponieważ nie dawało się go skłonić do zeskoczenia z szafotu, został zabrany siłą i umyty. Nie chciał potem przyjmować jedzenia, a według wersji jednej ze służących Marii niedługo później zdechł, co jednak nie zostało potwierdzone.

Po południu czarne bawełniane płachty, pieniek, poduszka, odzież i ozdoby królowej, a także wszystkie inne rzeczy, na które trysnęła jej krew, z rozkazu hrabiów zostały spalone w otwartym kominku. Chodziło o to, żeby jej katolicy stronnicy nie zdołali zdobyć żadnej relikwii „męczeństwa”, z którym Maria tak wyraźnie usiłowała powiązać swoją śmierć. Rycerze i szlachta hrabstwa pozostali w wielkiej sali, żeby móc obserwować te zabiegi usuwania śladów egzekucji, a następnie złożyli podpisy jako świadkowie na oficjalnym raporcie z jej przebiegu, spisany przez obu hrabiów.

Czwarty syn hrabiego Shrewsbury, Henry Talbot, został wyprawiony z ogromnym pośpiechem do Londynu, bo jeszcze tej samej nocy miał doręczyć raport Tajnej Radzie. Po jego wyjeździe doczesne szczątki martwej królowej złożono na noszach i wniesiono je na górę, gdzie miały zostać zabalsamowane. Szafot rozmontowano, a wszystkich obecnych odesłano do domów. Pozostał tylko szeryf, który miał za zadanie pochować serce oraz organy wewnętrzne zmarłej w ściśle tajnym miejscu, w fundamentach zamku. Część ozdób, które Maria miała na sobie, także musiała zostać zagrzebana w najgłębszych zakamarkach Fotheringhay, ponieważ w ruinach budowli odkopano później pierścień zaręczynowy, który podarował jej drugi mąż, Henryk lord Darnley. Klejnot ten wystawiono na pokaz w 1887 r. w Peterborough.

Ostatni dzień życia Marii musiał na zawsze pozostać w pamięci wszystkich jego świadków. Nieważne, jakie zdanie ma się o jej charakterze albo na ile wierzy się w opowieści o niej, którymi usprawiedliwiano jej wymuszoną abdykację i egzekucję. Bez względu na to wszystko w owym dniu Maria padła ofiarą królóbójstwa. Była przecież namaszczoną przez Boga królową. Elżbieta, która tak samo nosiła koronę, a jednocześnie rywalizowała z kuzynką przez poprzednich 30 lat, była aż nadto skora do obrony idei monarchii – zasady, że królowie są odpowiedzialni tylko przed Bogiem. Zrobiła więc wszystko, co było w jej mocy, żeby zapobiec straceniu Marii, aż w końcu uznała, że nie da się tego dłużej unikać. Jednak winę za ten czyn zrzuciła na barki innych ludzi.

Elżbieta świetnie wszystko rozumiała. Wiedziała, że ta śmierć na zawsze zmieni sposób postrzegania monarchii na Wyspach Brytyjskich. Królobójstwo ogromnie wyniosłoby w górę Parlament, bezpowrotnie umniejszając ową *boskość, która jest wałem obronnym dla króla*. Dopomogłoby w rozpropagowaniu teorii o suwerenności ludu – poglądu, że źródłem władzy politycznej jest on, a nie osoba, która ją sprawuje; pomogłoby też rozpowszechnić ideę, że reprezentantami owego ludu są ci, których on sam wybiera do Parlamentu. Albowiem właśnie do takiej ideologii odwoływali się szkocky panowie zbuntowani przeciwko Marii, kiedy chcieli ją zdetronizować. Ta sama teoria miała też zostać zaszczerpiona w kraju samej Elżbiety, a oprócz tego, z bardziej wywrotowymi intencjami, w pewnych rejonach Francji, 250 lat po śmierci Marii. Wreszcie zaś miała się przedostać na drugą stronę Atlantyku dzięki doktorowi Williamowi Smallowi, Szkotowi z pochodzenia, który udzielał lekcji etyki i nauk politycznych młodemu Thomasowi Jeffersonowi w College of William and Mary w Wirginii.

Jak mogło dojść do tego, że królowa tak wszechstronnie utalentowana jak Maria, piękna i inteligentna, towarzyska i zarazem twardo stąpająca po ziemi, osoba pełna życia i taka, której nie sposób się było oprzeć, skończyła w hańbie i zdetronizowana? Jedna z odpowiedzi brzmi: ponieważ miała za wroga głównego ministra Elżbiety i naczelnego doradcę tej królowej przez 40 lat – Williama Cecila. To przede wszystkim on był wielkim nemezis Marii. W przeciwieństwie do królowej Anglii była ona katoliczką, a nadrzędną ambicją Cecila było ukształtować na nowo całe Wyspy Brytyjskie, tworząc z nich jedną wspólnotę o wyznaniu protestanckim. W jego planach nie było wiele miejsca na niezależną Szkocję, i stąd też sporadycznie ścierał się o zakres dominacji Anglii nawet z tymi Szkotami, którzy w sferze wyznaniowej byli jego sojusznikami. Podczas gdy Elżbieta ze wszystkich sił starała się chronić ideę boskiego prawa królów bez względu na wyznanie osoby piastującej koronę, Cecil uważał, że Parlament ma prawo rozstrzygać o następstwie tronu w oparciu o kwestie religijne. Oznaczało to, że za wszelką cenę trzeba przestać uważać Marię za uprawnioną do korony z tytułu przynależności do dynastii królewskiej.

Sama Maria budziła nadzwyczaj silne uczucia, po śmierci nie mniej niż za życia. Dla swoich apologetów była niewinną ofiarą. Argumentowali oni, że państwiono się nad nią i oczerniano ją; że służyła jako pionek polityczny zdradzieckim szkockim panom oraz ambitnym politykom Francji i Anglii, aż w końcu uznali, że jest dla nich niewygodna i stoi im na drodze. Z kolei krytycy postrzegali ją jako skazaną na upadek na skutek jej własnych wad. Oskarżali ją, że emocje miały na nią zbyt duży wpływ; że rządziła sercem, a nie głową. Dla nich była *femme fatale*: zwodzającą mężczyzn manipulatką, która obnosiła się

ze swoją seksualnością, tańcząc i uczując, i zupełnie jej nie obchodziło, że inni to dostrzegają.

Przewagę w tym sporze zdobyli wrogowie Marii. Królowa przeszła do historii nie jako bystra i charyzmatyczna młoda władczyni, która rozkoszowała się władzą i na pewien czas zdołała utrzymać w całości bardzo niestabilny kraj, lecz raczej jako kobieta, która więcej uwagi poświęcała otaczającym ją luksusom i swoim faworytom. Przedstawia się ją jako osobę, która umiała grać „pod publiczność”; jedna z relacji z jej egzekucji zawiera pogardliwy komentarz, że *przewyższała umiejętnościami najznakomitsze aktorki*. Jednak zmysł dramatyczny był kluczowym atutem dla władców w XVI w., a Maria miała o wiele więcej zalet i umiejętności, niż sugeruje tak cyniczny osąd jej osoby.

Niniejsza książka stanowi próbę dotarcia do prawdy o królowej, czy też sięgnięcia jak najbliżej tej prawdy. Pozwoli ujrzeć ją jako kompletną postać, kobietę, której wybory miały sens, podobnie jak jej decyzje – nie zaś jedynie jako zbiór stereotypów albo szereg mitów, dogodnych lub powiązanych ze sobą w naciągany sposób. Z tym założeniem ściśle wiąże się metoda zastosowana przy pracy nad biografią, to znaczy do przedstawienia życia i przekazania dziejów Marii posłużą oryginalne dokumenty. Zostaną one wykorzystane zamiast znanych opublikowanych zbiorów bądź zredagowanych streszczeń tych samych dokumentów, które w wielu przypadkach zostały skompilowane tak, żeby utrwalac wspomniane mity, zamiast je zwalczać. Pewnym zaskoczeniem może być informacja, że takie dokumenty przetrwały, i to w całych tomach. Zostały bowiem zachowane w archiwach i bibliotekach, w miejscach tak odległych od siebie jak Edynburg, Paryż, Londyn, rozmaite rezydencje na terenie Anglii albo nawet Waszyngton i Los Angeles. Na niektóre z nich od 1840 r. ani razu nie padło oko historyka, a wiele nie zostało przebadanych na nowo od ostatniej dekady XIX w., przy czym mowa między innymi o dwóch niedocenionych odręcznych odpisach słynnych „listów ze szkatułki”.

Ta książka ma za cel opowiedzieć historię życia Marii, a w miarę możliwości pozwolić bohaterce mówić za siebie własnymi słowami. Posłuży jednocześnie rozważeniu problemu: dlaczego opowieści różnych osób na temat tych samych wydarzeń są tak uderzająco odmienne? Dopiero po udzieleniu tej odpowiedzi będzie można dokonać odpowiedniej selekcji niezliczonych informacji, wyjaśnić i zrozumieć ciąg wydarzeń, a także rzucić światło na burzliwe życie królowej.